Rok 1935. 3 lutego. Nr. 6.

DZWONECZEK

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"
POD REDAKCJĄ ELI OLESKIEJ.

„Złota księga" otwarta...

Oto nadszedł już luty, a jego pierwszy tydzień, jak co roku, jest tygodniem propagandy trzeźwości. Co to jest „propaganda"? Jest to pouczanie, objaśnianie, zachęcanie, nakłanianie — w tym wypadku do trzeźwości. A więc wykazywanie, jak strasznie zgubnem dla człowieka jest używanie alkoholu czyli spirytusu, który znajduje się, jak wiadomo, w takich napojach, jak wódka, rum, koniak, piwo, wino i wszelkie nalewki owocowe.

Dlaczego zaś używanie alkoholu jest zgubne? Dlatego, że jest on trucizną, która niszczy cały organizm ludzki. Gdybyśmy tak n. p. przez dłuższy czas moczyli w spirytusie palec, wyschłaby na nim skóra, ciało straciłoby swoją jędrność, przestałoby odczuwać, gdyż nerwy zostałyby porażone, czyli znieczulone alkoholem. Jeżeli tak podziałałby alkohol na palec, który przecież pokryty jest skórą niezbyt delikatną, przyzwyczajoną i do zimna i do gorąca, do dotykania rzeczy twardych, szorstkich i ostrych, oraz do wszelkiego rodzaju pracy, to łatwo sobie wyobrazić, co dzieje się w naszych ustach, gardle, przełyku, żołądku i t. d., gdy je raz za razem zalewamy spirytusem. Wszak to są organa nadzwyczaj delikatne, pokryte cienką, czułą błoną, którą alkohol poprostu spala swojem działaniem, wywołując w nich różne stany zapalne, wrzody i t. p.

Co więcej, przedostaje się on i do krwi i wraz z nią krąży po całym organiźmie, dociera wszędzie, i do serca, i do płuc, i do wątroby, i do nerek, a przedewszystkiem do mózgu, który jest przecież najdelikatniejszy ze wszystkich organów ciała ludzkiego. W mózgu mieści się nasza władza myślowa, z mózgu wychodzą rozkazy dla naszych ruchów, w mózgu kryje się to, co stanowi o człowieku jako o istocie rozumnej i zdającej sobie ze wszystkiego sprawę, w przeciwieństwie do zwierząt. Ponieważ mózg jest najdelikatniejszy, dlatego najstraszniej właśnie działa na niego jad alkoholowy.

Można się zupełnie na tem nie znać, a mimo to spostrzega się odrazu owo działanie. Człowiek, do którego mózgu dostał się wypity alkohol, zamiast mówić, bełkocze tylko i to najczęściej bez sensu, głowa mu opada, oczy wyglądają jak błędne, nie może się utrzymać na nogach i t. d. Już sam ten widok wstrętny powinienby każdego odstraszyć od używania wszelkich napojów alkoholowych, jeśli mu do rozumu nie przemawia jeszcze i to, że wogóle niszczeje cały organizm, chociaż tego tak odrazu nie widać.

Nie dość jednak na tem, bo alkohol, niszcząc, zatruwając ciało, zatruwa i duszę człowieka, spycha ją coraz niżej, upadla, pozbawia ją wszelkich uczuć i myśli szlachetnych, a temsamem oddala od Boga, o którym taki biedny alkoholik nie ma nawet kiedy pomyśleć, bo każdą chwilę zapełnia mu tylko straszliwy nałóg, a jest to ciężka choroba, zwana alkoholizmem. Taki człowiek gotów jest wszystkiego się wyrzec, wszystko stracić, wpędzić w ostatnią nędzę i nawet w śmierć swoją rodzinę, byle tylko zdobyć grosz na nowy kieliszek wódki, bez której już obejść się nie może.

Wszystkim, którzy walczą o trzeźwość, zależy przedewszystkiem na dzieciach i młodzieży, oni to bowiem, ci młodzi, stanowią przyszłość narodu. Jeśli młodzież wyrośnie trzeźwa, trzeźwe będzie społeczeństwo. Jeśli zaś ono wzrośnie w alkoholiźmie, pijackie będzie społeczeństwo. A jeśli nasz naród ciągle będzie nietrzeźwym, gotowiśmy stracić Ojczyznę po raz drugi.

Oto sami, kochani Czytelnicy, powiedzcie, czy nie jest nam potrzebną propaganda trzeźwości?

Na zeszłoroczny artykuł „Dzwoneczka“ o tej porze pod tytułem „Tydzień przestrogi“ szczególną uwagę zwrócił wspomniany tu niedawno Antoś Łazarczyk z Ostrowa pod Baranowiczami. Dziękując Redakcji za zawarte tam wskazówki, pisze on do nas:

„Ja dotychczas nie używałem żadnych napojów alkoholowych i papierosów nie paliłem, a teraz, gdy nasz Dzwoneczek pouczył o najokropniejszych skutkach alkoholizmu, uroczyście przyrzekam przez całe życie nie używać żadnych takich napojów i chciałbym należeć do abstynentów i być wpisanym do Złotej Księgi. Ale niestety, w naszych stronach niema jeszcze tego zaszczytnego zwyczaju, przeto proszę bardzo wpisać mnie do Złotej Księgi abstynentów na znak, że ja przez całe swe życie ani kropelki nie wypiję tej obrzydliwej wódki, piwa i innych tym podobnych napojów spirytusowych“.

Otóż właśnie „Dzwoneczek“ zaprowadza taką „Złotą Księgę“ z okazji Tygodnia Trzeźwości i z największą radością zamieści w niej nazwisko każdego ze swych młodych Czytelników, kto tylko złoży Redakcji przyrzeczenie, że dobrowolnie zostaje abstynentem. Pierwszym do tej Księgi zostaje wpisanym Antoś Łazarczyk. Towarzyszów w tej szlachetnej wstrzemięźliwości mieć będziecie niemało, bo w całej Polsce istnieje taka „Złota Księga“ w różnych szkołach. Co roku w lutym, w Tygodniu Trzeźwości, w święto Matki Boskiej Gromnicznej, jako Opiekunki katolickiego ruchu abstynenckiego, odbywa się w Krakowie publiczna uroczystość przyjmowania do Koła Abstynentów w znanym zakładzie czcigodnego Ojca Kuznowicza, nowych członków zpośród chłopaków w tym mniejwięcej wieku, co nasi Czytelnicy „Dzwoneczka“. Nasza „Złota Księga“ od dziś czeka na naśladowców Antosia Łazarczyka.

Redaktorka

W krainie wiecznej zimy.

(Dokończenie).

Toteż zakonnicy, dobrze dla ludzkości zasłużeni, przenieśli się i w inne strony świata, by w podobny sposób przy pomocy niezastąpionych psów bernardów nieść gdzieindziej pomoc podróżnym zagubionym w dzikich górach wśród wiecznych śniegów.

Słynne schronisko św, Bernarda przeszło do historji i nigdy nie przestaną ludzie opowiadać o cudownych wypadkach ocalenia przez poczciwe psy. Kroniki klasztoru między innemi zapisały szczególne zdarzenie, którego bohaterem był najsławniejszy ze wszystkich pies, imieniem Barry. Więcej niż 40 ludzi uratował on jeden swoją odwagą, siłą, męstwem i niesłychaną gorliwością. Już na długo przed nadejściem burzy lub chmur zapowiadających śnieżycę, nie można było utrzymać go w klasztorze. Niespokojny domagał się wypuszczenia poza mury, szczekał, przeszukiwał, rozgrzebywał bez ustanku miejsca najgroźniejsze.

W ciągu 12-letniej jego służby szczególnie wzruszające i najbardziej znane było uratowanie małego chłopczyka, którego znalazł napół już zamarzniętego w grocie lodowej. Dopadłszy do dziecka, zaczął je lizać, potrącać' ogrzewać, tak długo, aż je zbudził ze śmiertelnego snu, poczem wszelkiemi możliwemi pieszczotami potrafił mu dać do zrozumienia, by siadł na jego grzbiet i objął go za szyję. Czuwając troskliwie, żeby mu drogocenny ciężar nie zgubił się w drodze, śpiesznie podążał do góry, aż nareszcie z tryumfem, pełen radości z dobrze spełnionego obowiązku, wszedł do schroniska.



Pies Barry niesie zamarzającego chłopczyka do klasztoru na górze św. Bernarda w Alpach.

Widzimy go właśnie na naszej rycinie i niemal ochota bierze uścisnąć to kochane psisko jak najserdeczniej. W dali widny klasztor z jasno oświetlónemi oknami, czekający gościnnie na biednych, strudzonych wędrowców. Zarówno, jak klasztor, zbudowane były i owe domy schroniskowe z kamieni górskich, a pomieścić mogły i wyżywić kilkuset ludzi. Dobroczynny ogień nigdy nie wygasał, gotowy zawsze ogrzać zziębniętych i wrócić życie w skostniałe ich członki.

Najgodniejszymi jednak wdzięczności i podziwu byli sami zakonnicy, którzy nie dla żadnej korzyści, a jedynie z miłości bliźniego, skazywali się sami na życie wśród nieustannych trudów, niebezpieczeństw w krainie wiecznej zimy. *E.*

Tajemnica wyspy kauczukowej.

Opowiedział MARJAN WARTA.

(Ciąg dalszy).

Tam na tarasie kamiennym, pod barwnym namiotem z jedwabnej materji, kołysała się w głębokiem krześle na biegunach właścicielka willi, bogata Francuzka. A do jej kolan co chwila przypadali dwaj chłopcy, zapewne rówieśnicy Wila, którzy w obecności matki bawili się w ogródku.

— Jak oni skaczą, jak biegają bez końca! — myślał sobie Will, przypatrując się z góry ich swobodnym ruchom przy zabawie; żal mu się strasznie robiło na myśl, że on przez swój nieszczęsny garb nie mógłby nigdy im w tem sprostać. Ile razy chłopcy przybiegali do nóg matki, by swoje pustoty, gonitwy przeplatać czułą pieszczotą z najdroższą na ziemi osobą, garbusek ze smutkiem odwracał się od tego widoku. On nie miał matki. Nawet jej nie pamiętał, bo go niemowlęciem odumarła. Więc nie znał rozkoszy pieszczot matczynych, nie doznał czułości opieki, jakiej nic na ziemi nie zastąpi. Ojciec go kochał i dla drogiego jedynąka starał się też zdobyć jak największy majątek. Ale czyż z ojcem można się tak pieścić, jak z matką.

Zresztą choćby chłopczyk nieraz chciał z ojcem porozmawiać dłużej i z czułością ściskać i całować, to rzadko kiedy miał pan Willington czas na takie rzeczy. On wiecznie zajęty własnemi interesami nie miewał nawet nigdy myśli swobodnych, by niepodzielnie oddać się ukochanemu, a nieszczęśliwemu synkowi. Nawet wtedy bowiem, gdy tulił dziecko w ramionach, myśl jego biegła na plantacje: raz gnębiła go jakaś troska o los towaru wysłanego okrętami w czasie burzliwego morza, to znowu niepokoił go stan pogody, niesprzyjający uprawianym przez niego roślinom.

Wreszcie często, gdy garbusek zasypywał ojca pytaniami, on słyszał z tego niewiele i długo nie odpowiadał, ponieważ trząsł się jeszcze z gniewu, jakim zapałał na kogoś z robotników, niedość uległym woli plantatora.

Wil był zadowolony, gdy przynajmniej ojca widział i słyszał; częściej zaś zdarzało się, że spędzał po parę tygodni jedynie w towarzystwie piastunki i nauczycieli domowych. Bywało to w czasach, kiedy pan Robert Willington opuszczał swój pałacyk, by osobiście doglądać robót w plantacjach.

Wtedy garbusek zostawał pod opieką Banki.

Była to Malajka z wyspy Borneo, zwyczajem tamtejszych kobiet wytatuowana wieczystemi rysunkami na rękach i nogach. Pan Willington wziął ją do swego domu na miejsce owego Chińczyka, z którego rąk podczas trzęsienia ziemi na Molukkach dziecko tak nieszczęśliwie wypadło. Odtąd Banka stała się dla małego Wila niemal drugą matką. Zaiste, nie mógł znaleść ułomny chłopczyk lepszej niańki, jak ta zacna kobieta o brunatnej skórze. Gdyby trzeba było w ogień skoczyć dla ocalenia Wila, nicby jej nie powstrzymało, tak była do garbuska przywiązana, tak go kochała serdecznie. Opiekowała się nim jak najtroskliwiej, czuwała nad każdym krokiem jego, myślała przezornie o jego potrzebach i choćby jej pan miał jak najmniej czasu, ona go zawsze zdołała zatrzymać na chwilę, by odbyć z nim krótką naradę, co należało zrobić dla zdrowia Wila, co kupić dla jego przyjemności.

Kiedy tak w tej chwili, blaskiem zachodzącego słońca oświetlony, spoglądał kaleka ze smutkiem na bawiące się naprzeciwko dzieci, wsunęła się cichutko na balkon jego dobra piastunka.

Przez chwilę niezauważona przez niego, przypatrywała mu się w milczeniu, poczem zrozumiawszy widocznie, co było przyczyną żalu dziecka, uklękła nagle i chwyciła chłopca w ramiona, całując go serdecznie.

Chłopczyk ukrył twarz na piersiach swojej drogiej niańki, a z oczu potoczyły mu się dwie grube łzy. Przez usta nie mogło mu przejść ani jedno słowo. Byłby mógł w tej chwili powiedzieć, że rozumie iż poczciwa Banka pragnie mu zastąpić matkę, której brak na świecie czuł tak dotkliwie. A jednak Wil nie mógł sprawić swej opiekunce przykrości wyznaniem, iż ona mimo chęci najlepszej, nie potrafi mu matki zastąpić. Dlatego milczał i gorzkie łzy sieroty połykał bez słowa.

(Ciąg dalszy nastąpi)